



WIANO I POSAG. ²⁾

Mój wianecku z barwionecku,
Chowałam cię w półskrzynecku,
Chowałam cię cas niemały,
Aze po cię przyjechali ¹⁾.

A jak u szlachty, tak i u ludu były (jak są jeszcze) targi „o wieniec“ czyli o posag i wiano, więc też w pieśniach ludowych dość często mowa o taksowaniu i płaceniu wieńca:

Przyjaciele się zjechali,
Mój wianeczek staksowali,
Nie na tysiąc, ani na sześć,
Nie płac panno, nie płac waseć ²⁾.

Za moim (dziewczyny!) wieńcem
Rzucą czerwieńcem,
A za twoją (młodego!) zielenią
Krakają wronce ³⁾.

Rachuj, Kubuś, talary
Za wianeńko ruciany ⁴⁾.

Ale kiedy w pieśniach ludowych weselnych mowa o płaceniu wieńca, to najczęściej rozu-

mie się przez to nie to, co młody zapisuje swej przyszłej, a więc nie wiano w sensie dawnego naszego prawodawstwa, lecz datek, który to wiano wyobraża, a który to datek młody składa istotnie na rzecz panny młodej przy odbieraniu wieńca; — bo u ludu targi o wiano i posag idą swoją drogą, a za oddawany wieniec musi młody starym zwyczajem, złożyć jakiś pieniądz rzeczywiście lub tylko pozornie (zamiast pieniędzy plasterki marchwi, rzepy lub skorupy z potłuczonego garnka). Istoty rzeczy wszakże to nie zmienia. Obrzęd zaś sam oddawania wieńca odbywa się u ludu, jak niegdyś u szlachty, już to na zaręczynach już to w czasie wesela. Jak to wygląda na zaręczynach, wystarczy dać opis z Poznańskiego i Radomskiego, gdyż wszędzie indziej w podobny odbywa się sposób.

W Poznańskim (w Czeszowie, pow. węgierski) dzieje się to w sobotę wieczór po oświadczeniach, które zwyczajnie odbywają się we czwartek. Rodzice młodej przygotowali się na to, jak należy i niecierpliwie oczekują gości. Koło północy przybywają wreszcie: młody ze swatem, starszym, żonatym gospodarzem, który tutaj zowie się „družbą“, z rodzicami i krewnymi żonatymi. Wystrzał z pistoletu przed domem młodej daje znać, że goście przybyli, więc też zaraz drzwi się otwierają, następują powitania, a po nich biesiada, przy której swat

¹⁾ Kolberg O. Radomskie I. 152.

²⁾ Kolberg O. Kieleckie I. 77.

³⁾ Kolberg O. Kieleckie I, 74.

⁴⁾ Kolberg O. Lubelskie I, 167.



odzywa się niebawem: „Jemy i pijemy, a nie wiemy, na co“. Powiedziawszy to, przypija do młodego, ale mu kieliszka nie podaje, tylko przed sobą dnem do góry stawia. Panna młoda wie, co to znaczy, więc bierze chusteczkę jedwabną „kaczorowego“ (mieniacego się zielono) koloru, składa ją w kilkoro i przypina na niej „wieniec“ z rozmarynu. Jest to podługowata r ó z c z k a, koło ćwierć łokcia długa, zdobna w trzy wstążki, złożone w kokardki: dwie skrajne czerwone, a środkowa niebieska. Wieniec ten, tak przyrządzony i ozdobiony, kładzie na talerzu i stawia przed swatem, który powstawszy, powiada uroczyście: „Młodzi państwo i rodzice obojga, proszę was do siebie!“ Na to wezwanie stają przed swatem w parach rodzice obojga młodych lub ich zastępcy i obydwoje młodzi, a swat zapytuje: „Jakież macie zamiary, jakie chęci, jakie związki chcecie mieć ze sobą? Co dajecie waszej córce, co synowi?“ Następują teraz układy i deklaracje w sprawie wyposażenia młodych, które gdy się skończą (wszystko to musi się odbywać przy świadkach), kładzie młody na talerzu przygotowane przez siebie pierścionki, które swat kropi święconą wodą, a następnie ma do młodych stosowną przemowę i wkłada im na palce pierścionki. Oddaje nakoniec młodemu wieniec z chustką i powiada: „Oddaję ci, młody panie, wieniec, a proszę cię o czerwieniec“. Młody kładzie wtedy na talerzu kilka talarów (podług zamożności), które swat zsypuje młodej w nadstawiony fartuszek. Młodzi dają sobie teraz całusa i obchodząc stół (ona naprzód, on za nią), chwytają za nogi lub całują w ręce obecnych. Gdy się to stanie, swat znowu woła: „Młody panie, proszę cię do siebie!“ I wzięwszy przewrócony poprzednio dnem do góry kieliszek, nalewa i pije do młodego, poczem młody, ucałowawszy w rękę kogoś z rodziców, pije do niego, a swat powiada znowu: „Już teraz jedźmy i pijmy i cieszymy się, bo wiemy, na co!“ Zabierają się tedy wszyscy do jedzenia i picia — i bawią się do świtu ¹⁾.

W nieco odmienny sposób w szczegółach, ale w gruncie rzeczy tak samo odbywa się odanie wienca w Radomskim.

W umówiony dzień, byle nie w post, przypija młody ze swoim swatem, druźbami i muzyką około północy do domu narzeczonej „p o w i e n i e c“. Przybyłych przyjmują rodzice młodej, a ona sama spieszy z przybraną druźką na wieś, aby sprosić towarzyszek i krewnych, podczas gdy bracia jej lub młodzi z sąsiedztwa zapraszają druźbów, przez nią wskazanych. Gdy

się goście zejdą, głównie z obu łączących się rodzin, rozpoczyna się zabawa i tańce. Tymczasem młoda z druchnami i swachnami ubiera u sąsiada różnobarwnymi wstążkami „wieniec“, jak „gaik na skrzczeniu lub na gałązce jedliny albo sośniny“. Po przyniesieniu do domu rodziców młodej bierze ten wieniec swat, a zwiąawszy ręce młodych wstążką na bochenku chleba przy stosownem przemówieniu i błogosławieństwie rodzicielskiem, oddaje młodemu, który nad ranem wieniec ten z pewną wystawnością wprowadza do swojego domu ¹⁾.

Daleko powszechniejszy jest zwyczaj oddawania i przyjmowania za zapłatą wienca w czasie wesela, a mianowicie na samym jego początku. To też wesele zaczyna się zwyczajnie od wicia wienców, a tego przedewszystkiem. Ponieważ w wielu okolicach zowią go także r ó z g ą ²⁾, więc też pierwszą część obrzędu weselnego zowią tam zwyczajnie różgowinami. Zowie się ten wieniec w niektórych stronach również r ó z c z k ą ³⁾, a gdzieindziej wiechą ⁴⁾. W Kieleckim zastępuje wieniec ten l a s k a, ustrojona w kwiaty ⁵⁾, na Kaszubach zaś l a s k a, przybrana we wstęgi ⁶⁾. U rusinów, a mianowicie u huculów, zowie się to d e r e w c e ⁷⁾. Charakterystycznym znaczeniem tego wienca jest to, że nie ma formy kółka, jak zwyczajnie wieniec, lecz przedstawia, podobnie jak wieniec, oddawany w czasie zaręczyn, większą lub mniejszą naturalną lub sztuczną gałązkę, różgę, wiechę (jałowcową, jodłową, soi t. d.) w najrozmaitszy sposób przyrządzoną i w najrozmaitszy sposób „u w i t ą“, t. j. barwinkiem, wstążkami, świecidełkami, a często także i jabłkami zatkniętymi na odnogach ozdobioną. Derewce ruskie to również gałąź, lecz miejsce gałęzi, jak już wspomnieliśmy wyżej, zajmuje u nas także laska, odpowiednio ustrojona. Ta niezwykła forma „wienca“ nie będzie nas wszakże zadziwiała, jeżeli tylko zważymy, że pierwotną formą wienca u słowian, a i gdzieindziej, zdaje się być nie kółko, lecz właśnie gałązka, różczka, różga, wiecha, jak to

¹⁾ Kolberg O. Radomskie I, 205.

²⁾ Kolberg O. Lubelskie I, 157, 163, 194, 211, 217—219. Kieleckie I, 65, 131. Radomskie I, 137—138, 139, 144 — 145, 169. Kaliskie I, 128, 131. Poznańskie I, 208, 250.

³⁾ Kolberg O. Krakowskie II, 30. Kieleckie I, 94, 80. Poznańskie III, 96.

⁴⁾ Przyborów w Galicyi. Lud. XIV, 255.

⁵⁾ Kolberg O. Kieleckie I, 67.

⁶⁾ Dr. Nadmorski. Kaszubi i Kociewie 102.

⁷⁾ Kolberg O. Pokucie I, 229—336.

¹⁾ Kolberg O. Poznańskie III, 166—169, 187.



już stąd wynika, że zdrobnienie *wianek* brzmi w języku starosłowiańskim *wënik* (po polsku brzmiałoby to dzisiaj *wianik*, a dawniej *wienik*) i oznacza „gałązkę, różczkę“¹⁾. Są też (lub były) u nas okolice, w których wieńce weselne stanowią tylko różczki czyli gałązki, a zwyczajnego, dzisiejszego wieńca w formie kółka tam nie używają²⁾. I stądto także poszło, że druźbowie u ludu, podobnie jak u inteligencji wszyscy weselnicy prócz panny młodej, zamiast kółeczkowych wieńców używają zwyczajnie bukietów, gałązek, zwanych mimo to wieńcami³⁾, albo różczkami⁴⁾ lub, jak na Śląsku, wońkami⁵⁾.

A jak różne są kształty tego wieńca, tak różne są także i formy oddawania go w czasie wesela młodemu. Opisywać tego wszystkiego nie będziemy, gdyż to do celu naszego niepotrzebne; wystarczy zaznaczyć, że oddawanie wyprzedza targ i zapłata, a jak się w szczegółach przedstawia, dość będzie dać opis z jednej okolicy. Wybieramy okolice Żarek, Siewiera i Pilicy, skąd opis tej sprawy posiadamy z pod pióra tak znakomitego badacza, jakim jest p. Michał Federowski.

W czasie *pustochy*—tak się tutaj zowią różgowiny—uwito różgę weselną, „która się składa z trzech pałaczków, misternie obwitych barwinkiem, pierzem, wstążkami i pozłotką, a zakończonych jabłkami“. Nazajutrz rano—pustocha odbywa się w nocy w wigilię ślubu — skoro w domu młodej zgromadzą się goście weselni, a wreszcie i pan młody ze swą drużyną, gdy pan młody ze swym starostą i starszymi zasiędzie na ławie za stołem—rozpoczyna się *targunek*. Zaczyna go starszy druźba, który zbliża się do zamkniętych drzwi komory i puka. W komorze jest młoda z drużkami. Na zapu-

kanie i okrzyk druźby: „Wiwant! panie wesoly!“ (skrzypek) wychodzi starsza druźka z różgą w rękę. Druźba podawszy jej koniec chustki, którą trzyma w ręce, przyprowadza ją do stołu. Tu, puściwszy chustkę druźby, a podnosząc prawą ręką różgę do góry, wita starsza druźka obecnych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Otrzymałszy od wszystkich w odpowiedzi: „Na wieki wieków. Amen!“ zwraca się ku starości i powiada: „Moi panowie, moi starostowie, którzyście tu są na około tego stołu. Taki dekret nie od króla, nie od ojców, ale z nieba wypod(ł), że pan młody pannie młodej do serca przypod(ł)“.

„A ino!“—potwierdzająco wykrzykują przytomni.

„Otóż prosi panna młoda pana młodego na różkę zielono, na chustkę bielono, na ruciany wieńiec, żeby się pon młody nie smucił, sto złotych za wieńiec porzucił. Jak sto złotych za wieńiec nie będzie, to panna młoda z komory nie wyńdzie“. Miast żądanej kwoty rzuca młody na talerz lub do zapaski dziewczynny skorupę, grosz lub guzik. Dziewczyna odrzuca to z oburzeniem, a rozpowiedziawszy, ile to ona zażyła trudów, zanim ten wianek uwiła, odchodzi. Tak przychodzi i odchodzi dwukrotnie. Dopiero za trzecim razem pan młody okazuje się hojniejszy i rzuca na talerz jeden lub kilka srebrnych talarów, a wtedy starsza druźka oddaje różgę starszemu druźbie, ten zaś panu młodemu, który ją zatyka za belkę u powały czyli za siostrzan, albo jak się tu wyrażają, za „siostrzamb“. Rola różgi nie wszędzie jednak na tem się kończy, zwyczajnie wraca z rąk młodego do rąk starszego druźby, który się już z nią nie rozstaje do końca wesela, dzierżąc ją w rękę, niby marszałkowską buławę.

Skoro *targunek* ukończony, porywa starszy druźba druchnę do tańca, a przetańczywszy z nią dokoła izby trzy razy, spieszy wyprowadzić z komory inne druchny, w końcu pannę młodą. Z którąkolwiek stanie przed obecnymi, przemawia: „Moi panowie, moi starostowie! cy wom się podoba, cy nie podoba?“ Na to obecni: „Podoba się, ale nie ta; podobna do tej, ale nie ta!“.

C. D. N.

S. Matusiak.



¹⁾ Miklosich Fr. *Lexicon polaco-slovenico — graeco — latinum*.

²⁾ Kolberg O. *Kieleckie I*, 106.

³⁾ Kaliskie. *Lud XV*, 97—98.

⁴⁾ Świętek J. *Lud nadrabski* 141.

⁵⁾ Śląsk austr. *Lud XV*. 76—77.



Instrukcja do pomiarów jezior.

Jeziora w Królestwie Polskim bywają trzech rodzajów:

- 1) Jeziora pochodzenia lodowcowego (przeważna ilość).
- 2) Jeziora wydmowe.
- 3) Jeziora rzeczne, t. j. jeziora na równiach aluwialnych zalewowych.

Najważniejszym jest poznanie morfologii dna w jeziorach pochodzenia lodowcowego; pozwoli ono na wyprowadzenie wniosków co do sposobu powstania tych jezior. W obecnej chwili w tym względzie przeważa pogląd następujący.

Pod lodowcem zbierała się woda, która następnie musiała szukać sobie ujścia ku południowi; skutkiem tego pod lodowcem tworzyły się strumienie, wyciągnięte z północy na południe; woda płynęła w nich pod ciśnieniem, i dlatego zwykle prawa erozyi rzecznej t. j. zasada podstawy erozyjnej i erozyi wstecznej nie miały tu zastosowania; w dolinach (rynnach) podlodowcowych tworzyły się kotliny i przełęczce, będące rezultatem tej erozyi nienormalnej, e w o r s y i. Rynny te były głębokie o stromych i wysokich brzegach; w kotlinach mieszczą się dziś jeziora.

Wody, wypływające z pod lodowca, zbierały się następnie przed jego czołem i tworzyły szerokie rzeki, płynące powoli ku północnemu zachodowi. Po rzekach tych pozostały ślady dolin o kierunku mniej więcej wschodnio-zachodnim, częściowo zajęte obecnie przez jeziora typu w zasadzie odmiennego od poprzedniego, a mianowicie szerokie o niskich brzegach i względnie płytkie.

Z powyższego wynika, że w krajobrazie lodowcowym względnie świeżym, jak np. krajobraz części jeziornej Kujaw, powinniśmy spotkać 2 typy jezior:

- 1) Jeziora powstałe na miejscu kotlin w rynnach lodowcowych, wyciągnięte z północy na południe, wąskie, głębokie, o dnach kapryśnym i stromych brzegach.

- 2) Jeziora powstałe na miejscu dolin czołowych lodowca, szersze, płytsze i o brzegach niskich.

W rzeczywistości nie wszystkie jeziora dają się w tych ramach pomieścić; znany zwłaszcza jeziora wybitnie wydłużone z północy na południe, a jednak nie posiadające brzegów stromych i wysokich. Pod względem morfologii

dna tych jezior, przynajmniej w Polsce, żadnych danych nie posiadamy.

Podczas badań nad jeziorami w okolicy Chodcza, doszedłem do następującego przypuszczenia odnośnie przyczyn powstania jezior w rynnach lodowcowych. Lodowiec wywierał silne ciśnienie na warstwy ziemi, na które nalegał i powodował wyciśnięcia; wyciśnięcia miały miejsce w bliskości czoła lodowca i wyrażają się obecnie pasami wzgórz w tych miejscach, gdzie lodowiec podczas odwrotu swego dłużej się zatrzymywał. W ten sposób na Kujawach powstały dwa rodzaje krajobrazu z typu lodowcowych: 1) krajobraz urozmaicony, pagórzysty, odpowiadający pasom wyciśnięć (Endmoränenlandschaft) i 2) krajobraz równinowy (Flachmoränenlandschaft).

W miejscach, gdzie pasy wzgórz przecinają rynny, mieszczące jeziora, spotykamy właśnie przegrody (rygle), rozdzielające jeziora. Zdaje się zatem, że takie same wyciśnięcia zachodziły w dolinach lodowcowych i sprawiły, że jednostajne, ciągłe koryta zamieniły się na łańcuchy kotlin jeziorowych, rozdzielonych przegradami z pagórków. Aby uzasadnić ten pogląd, należy posiadać mapki dna większej ilości naszych jezior lodowcowych. Jeżeli bowiem przekonamy się, że topografia dna jeziornego jest analogiczna do topografii okolicy jeziora, to musimy przyjąć, że ta sama przyczyna działała w jednym i drugim wypadku, ewent. wyciśnięcia przez lodowiec; jeżeli natomiast niema związku między topografią miski jeziornej i topografią okolicznej miejscowości, to musimy przyjąć, że czynniki działające na ukształtowanie dna jeziora ograniczały się jedynie do samej rynn lodowcowej, były zatem skutkiem sposobu odpływania wody, ewentualnie e w o r s y i. Porównanie topografii okolicy i topografii dna jeziora nie jest zadaniem łatwym; w samej rzeczy koleje, jakie przechodziły te dwa rodzaje powierzchni są zupełnie odmienne. Podczas gdy powierzchnia ziemi podlegała ciągłej erozyi i była stale odkształcana w kierunku ku penepleniu (równinie poziomej), przez znoszenie materiału z punktów bardziej wyniosłych — powierzchnia dna jeziora była miejscem ciągłego gromadzenia się osadów, którego rezultatem jest również wyrównanie dna, ale w sposób odmienny.



INSTRUKCYA.

1) Wybór jeziora. Najlepiej wybrać pewną grupę jezior, związanych ze sobą; na początek najlepiej jest wybrać jezioro niewielkie, a przynajmniej wązkie.

2) Określić możliwie dokładnie krajobraz, otaczający jezioro; zaznaczyć, w jakich miejscach rzeźba bardziej urozmaicona dochodzi do brzegów jeziora.

3) Określić brzegi jeziora (wysokość, stromość) i kształt jeziora.

4) Zrobić zdjęcie planimetryczne tafli jeziora.

W tym celu należy:

a) Opalikować jezioro. Paliki, długości około 50 cm., ponumerowane, wbija się możliwie równomiernie dookoła jeziora co 100 lub 150 metrów, zależnie od kształtu jeziora i dna; paliki służyć będą również do wytknięcia linii pomiarów głębokości.

b) Zrobić zdjęcie planimetryczne jeziora przy pomocy busoli z wizerkiem na trójnogu. W tym celu mierzymy przy pomocy sznura odległość między dwoma palikami, tudzież przy pomocy busoli kierunek linii, łączącej dane dwa paliki; zapisawszy rezultat, posuwamy się do numeru następnego, powtarzamy tę samą operację i t. d. dookoła jeziora. Pracę tę można pominać w razie otrzymania zdjęć gotowych od właścicieli jeziora; w takim razie pozostaje tylko mapę skopiować i ściśle oznaczyć na niej położenie palików.

5) Pomiar głębokości dokonywają się przy pomocy ciężarka na lince.

a) Ciężarek ołowiany z blachy, wypełniony ołowiem, (jak na fig. 2 str. 427 r. 1911), spłaszczony u dołu, aby nie zapadał się w mule i aby dokładnie odczuć można było chwilę, kiedy o dno uderza; u góry ciężarek powinien być zwężony, ażeby łatwiej było go wyciągać.

Jeżeli chcemy brać próbki z dna, to musimy ciężarek odpowiednio przystosować. Dr. Sawicki używa w tym celu ciężarka, jak na fig. 3 tamże; przy pomiarze głębokości lejek zagłębia się w dno jeziora i zabiera próbkę z dna; następnie podczas podnoszenia opór wody przyciska pokrywkę do lejka i zamyka próbkę. Przyrząd ten przynosi doskonale próbkę z dna mulastego, gorzej z dna piaszczystego twardego.

b) Linka, do której przywiązany jest ciężarek, musi być cienka, mocna i opatrzona podziałką. Ponieważ linka w wodzie kurczy się

lub wydłuża, więc podziałkę należy przeprowadzić w mokrym stanie i od czasu do czasu kontrolować. Odstępy metrowe, pięciometrowe i dziesięciometrowe najlepiej oznaczyć różnobarwną wełną, którą się w odpowiednich miejscach przesywa linę i zawiązuje.

c) Pomiar głębokości. Ułożywszy linę tak, aby mogła swobodnie się rozwijać, puszcza my ciężarek do wody. Linę przytrzymujemy zlekka palcami, tak aby odczuwać jej drogę i chwilę, kiedy ciężarek dotyka dna; jednocześnie liczymy przesuujące się między palcami podziałki liny. Trzeba zawsze zwracać najpilniejszą uwagę, aby linka podczas pomiaru stała prosto, a nigdy ani trochę krzywo.

Pomiarów głębokości dokonywamy na liniach prostych, przecinających jezioro, od palika do palika, jak na fig. 1 str. 426 r. 1911. Paliki powinny być rozstawione możliwie równomiernie; w zatokach przeprowadzamy linie pomiarów na krzyż, jak np. linie 2—50 i 1—49; oprócz tego dla kontroli przeprowadzamy linie pomiarów ukośne, np. 1—46, 6—45, 4—43.

Głębokości mierzymy z łódki, a w zimie z lodu, przebijając przeręble.

6) Pomiar głębokości z łódki.

Należy jechać w kierunku oznaczonym prosto, nie zbaczając ani w lewo ani w prawo. Łódka musi być lekka, konieczne na 2 wiosła z widełkami i sterem. Obsługa co najmniej z 2 osób, z których jedna wiosłuje, druga steruje, opuszcza ciężarek i zapisuje rezultat; wiosłarz powinien być bardzo wprawny. Pierwszy pomiar bierze się jak najbliżej brzegu, do którego odległość oceniamy na oko w metrach; następnie jedzie się możliwie równo w oznaczonym kierunku i co pewną ilość uderzeń wiosłami robi się pomiar głębokości; w tym celu należy przedewszystkiem silnem uderzeniem wiosł „w tył“ osadzić łódkę na miejscu, a następnie opuścić ciężarek. W bliskości brzegów należy brać pomiary częściej, np. co 10 uderzeń wiosłami, dopóki nie minimy miejsca, w którym głębokość szybko zaczyna wzrastać; później odstępy można powiększyć (15 uderzeń wiosłami). Po każdym pomiarze zapisujemy rezultat natychmiast.

Ścisłość pomiarów zależy od tego, aby linka miała kierunek zupełnie prostopadły i aby łódka nie zbaczała od wytkniętego kierunku. Wobec tego pomiarów z łódki dokonywać można tylko przy pogodzie spokojnej, ewent. przy wietrze bardzo słabym, gdyż silniejszy wiatr znosi łódkę i trudno ją utrzymać na miejscu. Wogó-



le przy złej pogodzie pomiarów lepiej zaniechać. Jeżeli zmuszeni jesteśmy dokonywać pomiarów przy pogodzie niekorzystnej, to postępujemy w sposób następujący: 1) jedziemy ukośnie; 2) ilość wiosła, znaczących odstępów zwiększamy lub zmniejszamy, stosownie do tego, czy wiatr nas pogania czy wstrzymuje; 3) przy pomiarze staramy się odpowiednimi ruchami wiosła utrzymać łódkę na miejscu; jeśli to się nie uda, to wioslarz musi później łódkę naprowadzić tak, aby linka przyjęta położenie pionowe; wioslarz musi być silny i wprawny.

7) P o m i a r y z l o d u. Drogą żelaznym przebijamy otwory w lodzie i spuszcza my cię-

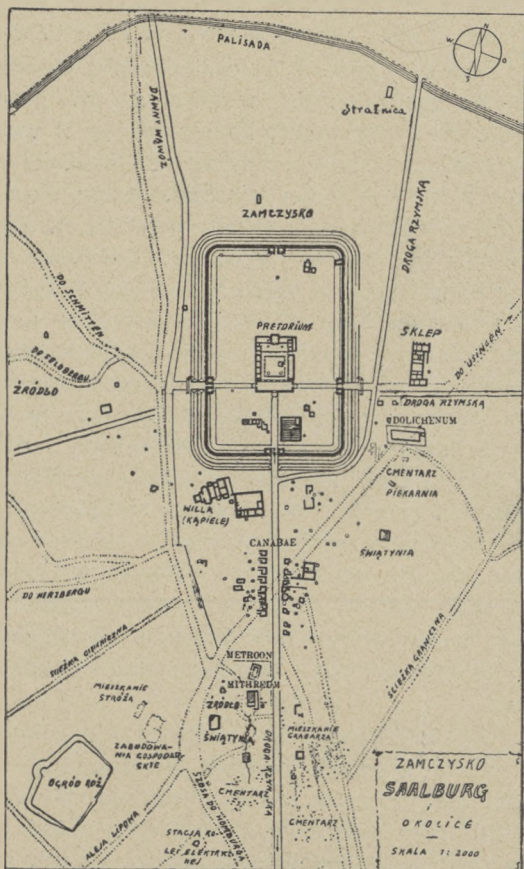
żarek. Odległości liczymy na kroki lub na metry. Robota idzie bardzo szybko¹⁾.

Czesław Łopuski.

¹⁾ Komisja Fyzyograficzna P. Tow. Kr., pragnąc zachęcić do dokonywania pomiarów jeziornych wszystkich, kto do zbadania naukowego kraju naszego przyczynić się pragnie, ogłasza niniejszą instrukcję, wyrażając gorące pragnienie, aby wyniki dokładnych pomiarów były jej z możliwie najszczegółowszemi notatkami i spostrzeżeniami nadsyłane pod adresem Tow. Krajoznawczego w Warszawie (Aleje Jerozolimskie 29 m. 1). Na żądanie instrukcję niniejszą kancelarya T-wa wysyła pod każdym wskazanym adresem (przyp. Red.).



KASZTEL W SAALBURGU. ¹⁾



Homburg, Wiesbaden i t. d., jeszcze w II i III stuleciu po narodzeniu Chrystusa ciągnęła się granica imperium rzymskiego. To też wszędzie tam po dziś dzień znajdujemy ślady organizacji rzymskiej; oczywiście, ponieważ były to kresy (*limes*), przeto nieustannie podlegały one najeźdom półdzikich germanów, których armia rzymska musiała odpierać. Dla tego granica wielkiego cesarstwa jeżyła się szeregiem mniej albo więcej silnych fortec, zwanych *castella*, które broniły państwa przeciw barbarzyńcom. Od początku XIX w. uczeni niemieccy zwrócili uwagę na te zabytki i zaczęto je w różny sposób konserwować, choć było to już dość późno, gdyż całe stulecia ludność miejscowa korzystała z niezmiernego bogactwa cegieł rzymskich i w rozmaity sposób niszczyła te starożytności.

Tak np. castellum moguncie znikło zupełnie, pozostała tylko nazwa przedmieścia (*Kastell-Mainz*), na drugim końcu miasta przechowała się wcale nieźle t. zw. wieża Druzusa, który tu był zarządcą za czasów Domicyana. W Wiesbaden zachował się t. zw. mur rzymski, zapewne część kastelu, dziś we środku miasta leżący. We wszystkich jednak tych miejscowościach, jak w Hanau, Stokstadzie, Aschaffenburgu i t. d. — ostatnimi czasy pozbierano szczątki po rzymianach — i utworzono już to na miejscu, już w pobliżu, muzea, które dają nam ciekawy obraz ówczesnej kultury rzym-

Tam, gdzie dziś leżą miasta ludne i zaciśne, jak Kolonia, Moguncya, Frankfurt, Nauheim,



skiej. Takie właśnie, bardzo bogate muzeum o którym niżej parę słów powiemy posiada przedewszystkiem Wiesbaden.

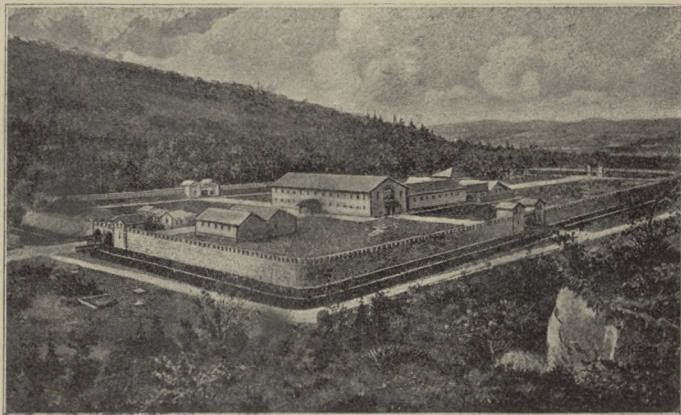
Najciekawszą jednakże próbę uczy-niono w Saalburgu, koło Homburga.

Saalburg — jest to wioska leżąca o 7—8 kilometrów od Homburga. Nie-ma tam właściwie nic, prócz szerokiego gościńca, który leży ściśle na tej samej linii, gdzie była niegdyś wielka droga rzymska w różnych kierun-kach idąca — to też zowie się do dziś *Römerstrasse*. Saalburg leży nu wy-żynie — niskich zresztą gór Taunus (422 m. nad morzem), w stosunku do doliny hamburskiej jest to jednak dość wy-soko — i samo miasto, owo niegdyś Monte-Carlo niemieckie, które wraz z domem gry w Nauheim i Wiesbaden — zostało zniszczone po zwycięstwie 1870 r. — wydaje się barwne, czerwona złote, skąpane w zieleni, ale lek-ką błękitną mgłą oddalenia osnute.

Kolejka elektryczna prowadzi od dwor-ca stacji Homburg do podnóża Castellum Saal-burg. Ponieważ nigdy jakoś na tem wzgórze ludzie nie zabudowali się gęściej — plac tu pozostał pusty i można było studyować bez prze-szkód budowę fortecy rzymskiej. Już w r. 1777 Elias Neuhof, zaczął badać ten rzymski Pfal-graben, gdzie pod wyrazem *Pfal* należy popro-stu rozumieć *vallum*, wał, szaniec, okop. Land-graf Fryderyk Józef w roku 1821 zakupił dział ziemi i lasu, na których leżało *castellum*. Po-czawszy zaś od r. 1870 Habel, Cohausen, Ja-cobi ojciec i syn — pracują nad tym przedmio-tem, mając niemałą pomoc w badaczach innych kastellów, jak Fabricius, Ritterling, v. Sar-vey i t. d.

W ostatnich latach swego życia zaintere-sował się Saalburgiem znakomity Teodor Mom-sen i poruszył myśl możliwości odbudowania tej fortecy w takiej formie, jaką mogła mieć w II w. po Chr., oczywiście w przybliżeniu tyl-ko, gdyż bezwzględnie ścisła tożsamość jest nie-podobieństwem.

Myśl ta wielce się spodobała cesarzowi Wilhelmowi II — i za czasów swego pobytu w Saalburgu ¹⁾ w roku 1897 postanowił ją w czyn wprowadzić. Jakoż po dziesięciu latach pra-



OGÓLNY WIDOK KASZTELU W SAALBURGU.

cy — w r. 1907 — odbudowano całe *ca-stellum* albo raczej tę jego część, która się zowie *praetorium*, to jest zamkniętą parcelę; z rzeczy poza fortem się znajdujących — od-budowano dotychczas niewiele (świątynię Mitry oraz dom grobowy).

Bądź co bądź całość przedstawia się impo-nująco. Jesteśmy nagle przeniesieni żywcem w czasy cesarstwa rzymskiego i możemy w wy-obrazni przedstawić sobie życie owoczesne.

Odbudowanie to nie było rzeczą łatwą z tego względu przedewszystkiem, że przy rozko-pach znaleziono nie jeden ale trzy, raczej czte-ry szaniec z różnych epok, zresztą niezbyt da-lekich od siebie, i z różnego materiału; miano-wicie najstarszy wał był urobiony z ziemi, na-stępny z drzewa, trzeci był drewniano-kamien-ny, czwarty cały z kamienia.

Rysunek linii głównych był za każdym ra-zem odmienny. Koniec końcem odbudowano ten ostatni kasztel z cegły i kamienia.

Jest to schematyczna forma obozu — for-tecy starożytnych rzymian. Forteca tworzy prostokąt 221,5 m. długi, 147,2 m. szeroki; w miarach rzymskich 150:100 *passus*. Ca-łość zajmuje z górą 3 morgi ziemi. Dokoła kasztelu szedł mur 4,8 m. wysoki, 1,6 m. gru-by — zbrojny w blanki, gdzie mieszczono roz-maite narzędzia do wyrzucania kul kamiennych, co odpowiadało naszym armatom. O tych na-rzędziach niżej.

Nadto mur otaczała fossa — a wewnątrz również miał on rodzaj rowu. Czwo-ro bram prowadziło do *praetorium*: *porta praetoria* od północy, *p. decumana* od południa, oraz na wschód i zachód *porta sinistra* i *dextra*. Na-leży zaznaczyć, że brama południowa, *p. decu-mana* jest podwójna; stanowi ona wejście główne, a nad niem zupełnie nowoczesny napis:

¹⁾ Rzymska nazwa Saalburga jest nieznaną, gdy np. Wiesbaden, jak wiadomo nazywał się *Aquae Mattiacae*. Znaczenie też imienia Saalburg jest nie-jasne; wyprowadzają je bądź to od *sal* — sól, gdyż były tu niedaleko saliny, bądź od *franków salickich*.

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



DROGA POLNA NA MAZOWSZU (POW. MIŃSKI).

fat. S. Kosiński.

Guilelmus III Frederici III Filius Guilelmi Magni (sic!) Nepos Anno Regni XV In Memoriam Et Honorem Parentum Castellum Limitis Romani Saalburgense Restituit.

Nadto u wrót dekumańskich stoi brązowy posąg cesarza Antonina Piusa, skopiowany z wzoru starożytnego. I tu napis głosi, że „*Imperatorii Romanorum etc. Imperator Germanorum*“.

Cesarz Wilhelm zawsze musi jakiegoś niesmacznego figla zrobić — i zapewne jego to wpływ nadał niektórym częściom kasztelu ten pruski charakter, który narusza wierność antykarską erudycji niemieckiej. Takie wrażenie robi zwłaszcza *Exerzierhalle*, której nazwiska łacińskiego Niemcy nie podają, a którą zdobią posągi Wilhelma Wielkiego (*sic*) oraz Fryderyka III, ojca Wilhelma największego.

Cale castellum dzieli się na trzy części, biorąc wzdłuż od bramy południowej: *retentura* czyli obóz tylny, *praetorium* i *latera praetorii*¹⁾

¹⁾ Niektórzy uważają nazwę *praetorium* za nie-

czyli siedziba dowódców oraz *praetentura* czyli obóz przedni.

W *praetorium* mieści się wspomniana wyżej *Exerzierhalle*, w której jak pisze Vegetius, rzymski pisarz wojskowy, „żołnierze mieli się ćwiczyć czasu zimy i niepogody“.

W hali tej mieszczą się dziś — oprócz biustów ojca i dziada dzisiejszego króla pruskiego, rozmaite maszyny wojenne rzymskie, które zrekonstruował I. v. Schramm, pułkownik saskiego XII regimentu artylerii pieszej w Metz. Maszyny te są z drzewa i żelaza i służą do rzucania na odległość bliższą lub dalszą pocisków formy okrągłej, po dzisiejszemu kul; kule były kamienne.

Polyboton — wyrzucał, jak mi-tralieza — po kilkanaście kul naraz; *onager* i *skorpion* — wyrzucały kule na odległość 300 metrów; *palinsonon* — na 180 metrów; *chalkoton* służył do przetykania spżu i t. d. Maszyny te wobec szimozy mogą się wydawać bardzo naiwne, ale na swój czas i wobec tak pierwotnie uzbrojonego nieprzyjaciela, jak ówczesny germanin — broń to była straszliwa.

Poza tą halą mamy na prawo i lewo — dwie hale podłużne, z których jedna była składem broni, druga — służyła za kamery dla administracji wojskowej — (*tabularium*); miejsce po-

między tem trojgiem hal — stanowiło *atrium* na wzór domów rzymskich. W głębi dziedzińca mieściła się mała świątynia (*sacellum*), zawierająca kamienie wotywnie i ołtarzyki różnych cesarzy, a nadto sztandary, insygnia i znaki wojskowe, które i dziś tu w wiernej kopii pomieszczono.

Przed świątynią dwa posągi w zielonym spżu: cesarz Hadryan i cesarz Aleksander Severus; obok świątyni na prawo i na lewo pomieszczono różne większe przedmioty, znalezione tu pod ziemią, jak np. beczki, kubły, skrzynie, stare drzewo niemal zwęglone, jeszcze przez rzymian zrąbane, wreszcie wielkie czółno; nakoniec amfory. Nadto są tu ustawione systematycznie bardzo liczne nagrobki różnych wyższych wojskowych albo kamienie pamiątkowe, stanowiące niejako kronikę oddziału, który tu przebywał. Mianowicie owo *praesidium in*

właściwą; znaleziono bowiem gdzieindziej na takim budynku napis: *principia* czyli siedziba naczelników.



TYPY LUDOWE.



TOMASZ MACIĄG Z ZABUŻA (POW. ZAMOYSKI).



fol. ks. St. Samorek.

TYPY Z CHŁOPKOWA (POW. ZAMOYSKI).

monte Tauno stanowiła w r. 117 po Chr. II kohorta retycka. Odczytaniem tych napisów zajmują się uczeni specjaliści.

Na dość obszernem polu z prawej strony *sacellum* jest jeszcze nieodbudowane ale niezłe zachowane wgłębienie, stanowiące łaźnię wojskową, ogrzewaną — o czym świadczy piec w głębi ziemi pomieszczony; jak sądzą kąpiel ta należała do stojącego tu niegdyś w pobliżu lazaretu (*valetudinarium*). Również w sąsiedztwie jest tu obszerne wgłębienie eliptyczne, które służyło albo jako plac do ćwiczeń konnych albo jako pływalsnia dla koni. Pod samym prawie murem znajdują się cztery wielkie wgłębienia, niewątpliwie — piekarnia albo

kuchnia wojskowa, która tu miała swoje kotły.

W obozie tylnym — od wrót dekumańskich — znajduje się parę budynków masywnych, a mianowicie *hordeum* czyli magazyn zbożowy oraz *quaestorium* — zdaje się kancelarya albo też kolegium wojskowe. Były też niewątpliwie stajnie, kuźnia (*fabrica*), areszt (*carcer*) i t. d. ale niepodobna, jak dotąd, określić ich miejsca. Zresztą jak mieszkali tutaj żołnierze — niewiadomo; w każdym razie za czasów Septyma Sewera żołnierzom pozwolono sprowadzać tu żony i dzieci tak, iż koło fortecy powstała dosyć ludna wioska (*vicus*), gdzie zapewne i żołnierze przebywali.

D. N.

A. Lange.





Nad grobem wielkiego człowieka.

Umilkły już dźwięki dzwonów żałobnych, ścichły echa wygłoszonych nad świeżą mogiłą Bolesława Prusa mów, pochwał i ubolewań. Życie, niepowstrzymane w swoim pochodzie, idzie wciąż naprzód, zasypując, jak piaskiem, nawalą nowych wrażeń, nowych smutków i strat mogiłę, która się nad drogiemi wszystkim zwłokami zamknęła.

Życie idzie naprzód i my, którzy cząstką jego jesteśmy, idziemy z nim razem — tylko wciąż jeszcze wielu z nas przychodzi ochota obejrzeć się za siebie, poszukać gdzie jest ten, który przez tak długie lata szedł przodem, który był nam czemś więcej, niż znakomitym pisarzem, który prosił i przekładał jak brat, jak przyjaciel, jak nauczyciel, uczył, życie swoje w tę naukę wkładając, świecił i grzał, i zawsze, sam pod ciężarem znużenia upadając, innych od desperacyi odwodził.

To pewna, że ze współczesnych nam mało komu danem było tak trwały sobie w sercach żyjących pomnik postawić, mało czyje wspomnienie tak będzie niezależne od smaku dnia dzisiejszego, mody, prądów literackich i teoryi społecznych, jak tego właśnie — między największymi wielkiego.

Nie był z tem wszystkiem naszą „sławą narodową“ na pokaz, nie był także znakomitością na eksport. Pomimo wielkiej poczytności nie miał w sobie daru — nie mógł czy raczej nie chciał — porywania za sobą tłumów łatwym, „pióropuszowym“ gestem. Pomimo znacznej ilości przekładów na obce języki, nie reprezentował w opinii świata Polski współczesnej, nie uchodził za jej typowego przedstawiciela i — można przypuszczać — nie był tam nawet dość rozumiany.

To się może wydawać na pierwszy rzut oka dziwnem, czemś więcej nawet niż dziwnem, bo niesprawiedliwem. Porównywano go wszak tylokrotnie — u nas i gdzieindziej, — z Dickensem, a nie chciano przyznać, że jeśli Dickensowi dorównywał siłą i świeżością talentu, przewyższał go wielokroć jako obywatel, przerastał go poczuciem nigdy niedość spleconego obowiązku, jaki wielki pisarz ma wobec współczesnego sobie pokolenia.

A jednak niema w tem nic dziwnego. Żeby Prusa ocenić, będąc włochem czy francu-

zem, niemcem czy rosyjaninem, niedość było na szali sądu ściśle literackiego ważyć świetność i głębokość jego humoru, oglądać w bliższej czy dalszej perspektywie nieskończony szereg życiem drgających postaci, które światłem serca swego przeświecił, które potęgą wyobraźni swojej w żywy kształt zaklął. Może im się poza tem, tym dalekim od nas pod niejednym względem cudzoziemcom, zdawało niejednokrotnie, że poglądy i rady, jakie ten obcy pisarz ziomkom swym dawał, zbyt są już małe, zbyt już oddawna treścią i przykazaniem dnia powszedniego tam, na szczęśliwym zachodzie, będące.

Ale, żeby sprawiedliwszy sąd wydać, trzeba było przyjść tu, trzeba było żyć pod szarem, beznadziejnie niekiedy szarem niebem naszych stosunków, mieć nogi pokrwawione od chodzenia po wszystkich ścieżkach ku wyjściu — zamkniętych, mieć ręce zdrowe i mocne, ale od nieskończonego podejmowania robót na zagładę skazanych omdlałe; trzeba było przyjść tu i wszystko to przetrwać, wszystko przeżyć, nie padając z wyczerpania, nie zakrywając sobie oczu z rozpacz, nie spalając się bezpłodnym gniewem i nienawiścią, nie zatruwając źródeł, z których samemu gasić pragnienie i innym pić dać potrzeba. To byłaby dla tamtych — wolnych i szczęśliwych — perspektywa całkiem odmienna i nowa, taka, w której się o wielkości rzeczy i ludzi nabiera zgola innego pojęcia. Wtedyby się z łatwością przyznało, ile wart jest ten, który nietylko nad strzaskaną kolumną rozpaczać potrafi, ale i każdą niepotrzebnie zdeptaną trawkę miłował, jak się miłuje coś nieskończenie drogiego i blizkiego. Jeśli wolno użyć paradoksu, był Prus dla nas i dla obcych bezsprzecznie olbrzymem, ale go nasza małość przed światem zasłaniała.

On sam przecie — wielki zmarły — umiał sobie z tego zdawać sprawę wybornie. Czuł i wiedział chyba, o ile łatwiej, o ile, w najlepszem nawet tego słowa znaczeniu popłatniej byłoby cyzelować drobne klejnociki — nowelki, czy stawiać potężne monumenty przyszłej swej chwały, wszędzie i przez wszystkich jednako — jak „Faraon“ — cenione. Jednak wolał lwią część swej duszy rozproszyć w twórczości drobnej, z natury rzeczy nikłej i nietrwałej, w „Kronikach“, pisanych tak nieprawdopo-



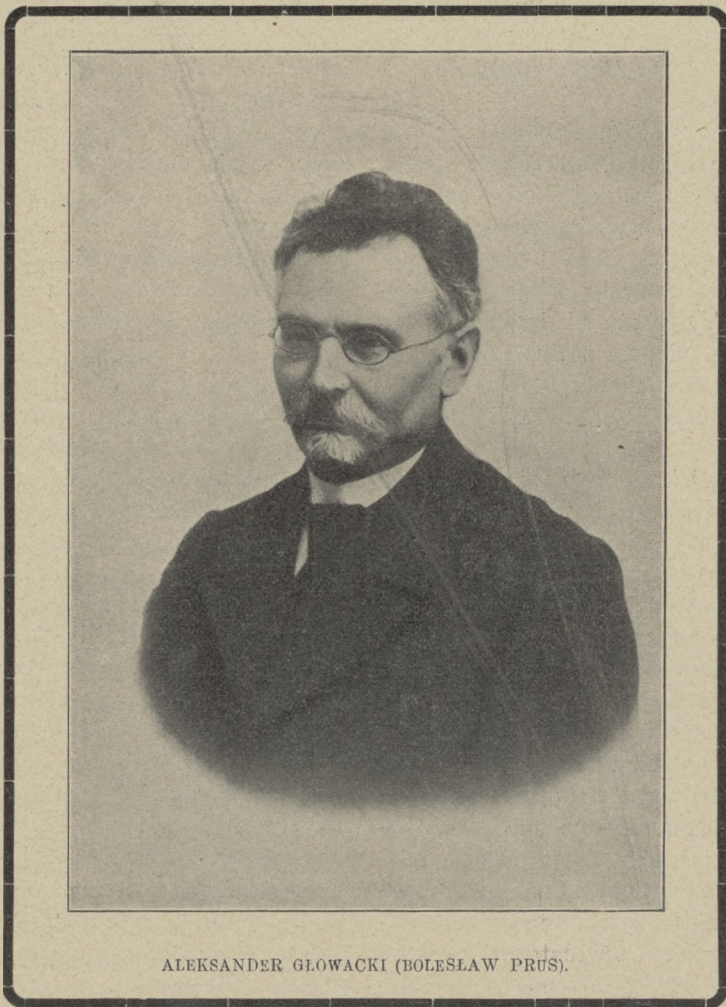
dobnie długi szereg lat z niestabnącą werwą i siłą talentu. Każdy, ktokolwiek bodaj zlekka dotknął się tego, wie, jakim piekielnym młynem, rozcierającym najtęższe talenty na miazgę, jaką niechybną zaturą i rozkruszeniem siły pisarskiej jest to obowiązkowe tworzenie efemeryd, skazanych z góry na zagładę, tych drobnych wskazań i oświeleń dnia dzisiejszego, o których jutro nie chce i nie może pamiętać. I jeżeli robi to człowiek takiej miary — jako pisarz i jako człowiek — jak Prus, ma się nieuchronnie wrażeń, że ktoś, kto mógłby być profesorem uniwersytetu, wolał zostać nauczycielem ludowym, a gdyby tym najmniejszym był nawet bratem i ojcem, nie mógłby ich troskliwiej i serdeczniej prowadzić za rękę, nie mógłby rzeczy tak prostych wykonywać w sposób większy i doskonalszy.

Ale dlatego też niema dzisiaj chyba w Polsce człowieka, któryby mógł o sobie powiedzieć, że nic Prusowi nie winien. I to najzupełniej niezależnie od tego, czy był jego gorącym zwolennikiem czy przeciwnikiem — i takich nie brakło — literatem czy rzemieślnikiem, artystą czy zjadaczem chleba. Bynajmniej nie dlatego, że wielki pisarz był człowiekiem istotnie głęboko i wszechstronnie wykształconym, że ogarniał bardzo szerokie i bardzo różnorodne horyzonty, że poruszał tematy, wchodzące w zakres najrozmaitszych specjalności i upodobań. Takich ludzi jest zawsze, zwłaszcza u nas, pod dostatkiem, jest ich niekiedy aż nadto co prawda. I nie dlatego, żeby Prus chciał być lub mógł być nieomylnym, granitowo pewnym; —

przeciwnie mylił się i sam często z błędnej drogi powracał, do omyłki przyznając się, stwierdzając, że jest człowiekiem nie kamienną opoką ani zimną tabliczką mnożenia. Ale te prawdy, które nam do znudzenia głupców i zniecierpliwienia ludzi pustych i małych podawał, były to prawdy tak zasadnicze i proste, tak w prostocie swojej niekiedy powszechne i wzniosłe, że się bez nich obyć nie można było nigdy i nigdzie, a najmniej w tych trudnych, ach jak trudnych

niekiedy, drogach, które mi chodzić musimy w Polsce dzisiejszej.

Nigdy ten człowiek np. nie pisał o krajoznawstwie. Nie opracowywał szeroko ujętego, a ściśle do najdrobniejszych szczegółów pogłębionego planu prac na tem polu, nie stworzył, przykładem żywym wojując, doskonałej monografii. Miał szczerze i głębokie, bardzo bezpośrednie odczucie natury i krajobrazu swojego, miał poza tem, jak wiadomo, ogromne upodobanie do operowania ścisłymi danymi statystycznymi, co go zresztą w połączeniu z wybitnie literackim bądź



ALEKSANDER GŁOWACKI (BOLESŁAW PRUS).

co bądź charakterem jego umysłowości wprowadzało czasami wręcz na manowce. Poza tem nic. Jego w ostatnich już latach kreślone kartki z podróży na Wołyń albo szkice lubelskie, były raczej świetną jak zwykle igraszką stylową, były pretekstem do rozsypiania jeszcze raz przed czytelnikami mnóstwa myśli — arcygłębokich, spostrzeżeń — arcyindywidualnych, ale nie były zaokrągloną całością wiadomości i sądów o Wołyniu i o Lublinie; nie były, bo poprostu być nią nie chciały.



A jednakże? Czyżby istotnie trzeba było kogokolwiek przekonywać, że i na tem polu Prus, wielki pisarz „wielki literat“ służyć może nie za wzór może, ale za przewodnika, najmniej od innych, patentowanych, pewnego. Czy każdemu, co w kraj idzie, chcąc na osobistą własność zdobyć jego możliwie pełny i wszechstronny obraz — to jest wszak chyba najprostszą definicyą krajoznawstwa — czy taki człowiek nie znalazłby w całej działalności pisarskiej Prusa setek i tysięcy myśli i wskazań, ubocznych, nic z jego celami pozornie nie mających wspólnego, a przecie jakby żywcem do nich pasujących, jakby dla niego umyślnie pisanych.

Więc przedewszystkiem, czego szukać? Wiemy, jak dalece wszystko, cokolwiek działo się na ziemiach polskich, stale, żywo i niezmiennie zajmowało wielkiego pisarza, jak dalece potrafił on wylamywać się z pod fascynującego wpływu wielkich, „epokowych“ wypadków, żeby tuż obok nich czy poza nimi odnajdywać rzeczy drobne, nikłe, niepostrzeżenie zwyktemu oku uchodzące, i żeby z nich, z tych okrucich, odtwarzać sobie tło i podłoże, na których tamte wielkie rosną.

To też znał swój kraj, jego ziemie i jego ludzi, ten powieściopisarz i felietonista, jak mało kto może. A z tego nieustającego zainteresowania się, jakim darzył wszystko, co się w Polsce dzieje, co w niej rośnie i co w niej więdnie, płynie głęboka nauka, jak tę całość trzeba szerokim i troskliwym spojrzeniem obejmować, niczego nie odrzucając, niczem nie gardząc, nie zamykając się w ciasnych komórkach osobistych czy chwilowych upodobań.

Mówił także, dlaczego tak trzeba robić, powracał ciągle i niezmiennie do tego samego, wijącego się jak nić szara, tematu „użyteczności“. Ten dziwny człowiek, który powtarzał niezmiennie: „pracę twoją kieruj raczej ku tworzeniu rzeczy użytecznych, aniżeli ku niszczeniu szkodliwych“ i który potrafił zarazem pisać ślicznie, głęboko przemyślane i głęboko odczute uwagi o „użyteczności“ barwy i zapachu róży. Jak westchnienia kochanka, marzącego o szczęściu, spływały czasem z pod tego złotego pióra przedziwne żądania wolności dla ziemi, żeby rodziła, żeby się w tem obradzaniu czuła szczęśliwa. Wierzył, że w tem bezgranicznem zespoleniu ziemi z człowiekiem, w nierozzerwalnem ich zrośnięciu leży przyszłość i odrodzenie, wierzył zresztą, już nie jako polak tylko, ale jako członek wielkiej rodziny ludzkiej, że nic człowiekowi takiego szczęścia i spokoju dać nie może, jak odrzucenie

z siebie drobnych fałszywych nieraz trosk i zabiegów, stanięcie oka w oko z wszechukoicielką naturą. „Naród nasz uważałbym — pisze w swoich niedocenionych uwagach „O najogólniejszych ideałach życiowych“ — za prawdziwie szczęśliwy dopiero wówczas, gdyby k a ż d y c z ł o w i e k, choćby najuboższy, mógł przynajmniej tydzień w ciągu lata poświęcić na jakiś dalszy spacer. Jestem pewien, że ludzie byłiby lepsi, gdyby mogli swobodnie, bez trosk, choć przez krótki czas przypatrywać się ziemi i niebu“. I kilka lat jeszcze przed utworzeniem Tow. Krajoznawczego wskazuje na konieczność założenia „Towarzystwa wspólnych wycieczek“, nie wątpiąc, że rzecz pozornie tak błaha może obrodzić bujnym, zdrowym, „użytecznym“ owocem. I nie omylimy się chyba, twierdząc, że „użytecznym“ znaczyło w tym wypadku tyle, co przybliżającym nas bodaj o włos do celu, do sprowadzenia na tę nieszczęsną ziemię nie tylko wolności, ale ładu i spokoju, szczęścia i dobrobytu, równowagi dusz i harmonii życia. Bo to było bez wątpienia najbardziej zasadniczym tonem tego wielkiego serca, to było uczuciem, wypowiedanem wstrzeźliwie, niekiedy wręcz oschle, ale przenikającym je nawskroś, miłowanem tak gorąco i potężnie jak się miłuje coś największego i najdroższego, coś o czem się milczy, ale bez czego żyć nie umie się i nie chce.

I dopiero ze skojarzenia tego bezdennie głębokiego serca z osobliwą trzeźwością umysłu wynikła ta przedziwna metoda, w której nikt mu dorównać nie zdołał. Ten szczerzy, z Bożej łaski poeta ubierał najpodnioślejsze pomysły swoje w formę zagadnień matematycznych, a wyrażał je tak prosto i łatwo, że się najmniej rozwiniętemu czytelnikowi wydawało, że myśli jego myślami. Serce miał jak stos ofiarny płonące, ale oczy patrzyły bystro i chłodno. Mówił prawdy koronujące szczyty myśli ludzkiej, ale mówił o nich jak o rzeczach zwykłych, codziennych.

Gdyby nie był humorystą, mógł być być zapewne prorokiem: nie brakło mu po temu ani żaru uczucia, ani siły ducha, ani oczu orlich, widzących rzeczy najdalsze.

Nie pora dziś mierzyć, czy ta pierś była na miarę Fidyaszową skrajana. Ale dopiero patrząc na tego człowieka z pewnego oddalenia potrafimy ocenić, jak dalece on, który nikogo nie naśladował, z nikim nie współubiegał się, potrafił stać się niezastąpionym, jak bez zastrzeżeń należał mu się, więcej niż komukolwiek z żyjących — tytuł jeden z największych, o ile szczeremi ustami jest dany — tytuł mistrza.

Stanisław Thugutt.



JESZCZE W SPRAWIE KARAIMÓW.

(Odpowiedź p. Poznańskiemu).

Zaznaczam, że w artykule swym „Karaimi i Bożnica ich w Łucku“ nie piszę świątynia a bożnica, gdyż nazwa ta przyjęta ogólnie po polsku dla oznaczenia świątyni niechrześcijańskich, dochowała się z archaicznej mowy i pisowni, np. „Baszta Lubartowskiej Bożnicy“ na dawnym planie z siedemnastego w. fortyfikacyjnego m. Łucka, należącego do pierwszych dziesiątków czternastego w. po zgonie ks. lit. Lubarta do kr. Kazimierza W-go.

Miałem na celu w ograniczonych ramach pisma popularnego, dać przyczynek w ilustracji i opisie zewnętrznego i wewnętrznego wyglądu bożnicy karaimów i bytowania ich na dawnych ziemiach polskich. Unikając stronności, czerpałem dane o karaimach i kulcie od nich samych.

Nie mogę się zgodzić z obszernymi wywodami p. Samuela Poznańskiego, aby te tylko przywileje ks. litewskich i królów polskich odnosiły się do karaimów vel karaitów, gdzie wyraźnie nazywano ich karaimami.

Według utartego mniemania, nie popartego dowodami, karaimi weszli do Rzeczypospolitej polskiej za Witolda, osiedleni na Litwie i Rusi, w Trokach, Łucku i t. d., lecz w każdym razie nie w piętnastym w. jak pisze p. Samuel Poznański, ale w czternastym w. Znany przywilej Witolda W-go Ks. Lit., ustanawiający stosunek żydów do chrześcijan, wyd., w Łucku w 1388 roku, a ośmiu dniami wcześniej zastosowany tamże do utworzonego dekanatu karaimów w Trokach, rozszerzający i objaśniający dawniejsze nadania, o których wspomina, nie może odnosić się do żydów rabinistów, gdyż jak przyznaje p. Poznański, w pierwszych przywilejach nie odróżniano karaimów od rabinistów; w tym wypadku jednak nie można twierdzić, aby nazwano ich, jak pisze p. P., „wszystkich pospołem“ judei trocenses, gdyż jak to najwyraźniej widzimy z późniejszych nadań i chociażby z przytoczonego w art. moim przywileju Władysława IV, wyd. karaimom w Warszawie w 1646 r., żydzi rabinisci nie tylko nie mieli w Trokach żadnych zgoła przywilejów osadniczych, ale nawet nie mieli prawa tam zamieszkiwać. Król Władysław IV potwierdza to tylko, powołując się na dawne nadania: jak czytamy „żydzi rabinowie czasy niedawnemi w mieście naszym trockiem mieszkania sobie wynajęwszy, w onych rezydując — wolności żydom

karaimskim od ś. p. przodków Naszych y Nas samych nadanych *nullo iure* zażywają...“ i dalej „abyś uprzejmość Wasza żydom rabinom żadnego mieszkania w mieście trockim mieć, domów zajmować, onych kupować, ani pod żadnym pretextem nabywać y żadnej przeszkody w handlach żydom karaimom czynić nie dopuszczał — ale we wszystkich onych prawach y wolnościach im nadanych zachował“.

Nie będzie więc „błędnem“ twierdzenie, że przywileje dawane „żydom trockim“ stosują się do karaimów i żydzi rabinisci nie mogą ich sobie przypisywać, gdyż pod żadnym względem nie byli uprzywilejowanymi mieszkańcami Trok. Że do dziś tak mało zachowało się przywilejów karaimskich, znajdujemy tłumaczenie w zarzucie Tadeusza Czackiego, że karaimi przez swoje niedbalstwo zatracili dużo własnych nadań osadniczych.

Podana „Biblia święta“, wyd. i napisana przez Eliasza Hutterusa, drukowana jest po hebrajsku i łacinie w Hamburgu w 1587 r. Nieprzekonywającym jest orzeczenie p. P. że nie ma ona nic wspólnego z karaizmem i chyba nie stanowi dowodu ich prozelityzmu. Inne księgi święte, druk. po hebrajsku, całkowicie po łacinie i jedna po turecku, znajdujące się w bożnicy karaimskiej w Łucku, uważane były i są przez nich, jako należące do odprawiania ich obrzędów religijnych. Nie tylko Elias Hutterus wydał polyglottę w Norymberdze 1599—1601 r., jezuitci drukowali także u nas dzieła w tym rodzaju.

Według wskazówek karaimów stół w bożnicy w Łucku bez żadnego wywyższenia, jak to widać na rysunku i fotografii str. 52, nazywa się Bim; jest to nazwa oznaczająca także samo miejsce i w meczetach mahometańskich u tatarów. Ma on jeszcze znaczenie inne, jako kamień ofiarny (mensa), powinien być na środku świątyni pradawnego kultu i jest motywem, który posłużył do konstrukcji architektonicznej jednoślupowych wnętrz.

Na Litwie i Rusi, gdzie karaimów było najwięcej, w dochowanych dawnych urządzeniach i cywilnych dokumentach ruskich i polskich pisano karaim. W bliższem zetknięciu się z Koroną, gdzie dokumenty w większości pisano po łacinie, imiona własne zwykle łatinizowano; pisano więc „caraitti“, stąd karaita. Obie te formy uтарыły się w języku naszym w równej mierze.

J. Smoliński.

Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



+ Dnia 15 b. m. w lokalu własnym T-wa w Warszawie odbyło się posiedzenie Komisji Fizyograficznej pod przewodnictwem J. Lewińskiego.

Na posiedzeniu tem, poza sprawami administracyjnymi, prof. Eug. Romer ze Lwowa wygłosił referat p. t. „Sprawozdanie ze studyów naukowych nad utworami lodowcowymi na Podhalu, dokonanych latem r. 1911“; w referacie tym prelegent przedstawił zgromadzone przez siebie dowody, na utworach trzeciorzędowych zanotowane, że na badanym terenie były trzy okresy zlodowacenia.

Na dalsze studia nad planktonem jezior kujawskich przyznano subsydia pp. Tadeuszowi Wolskiemu i Piotrowi Słonimskiemu.

Najbliższe zebranie miesięczne T-wa odbędzie się d. 12 czerwca (ostatnie przed feriami wakacyjnymi). Na ten sam dzień Zarząd Główny zwołuje nadzwyczajne Zebranie Ogólne—w sprawie wniosku o wyborze nowych członków honorowych T-wa. Zebranie to odbędzie się, w pierwszym terminie o godzinie 7 wieczorem—przed zebraniem miesięcznym—w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, w drugim zaś—prawomocne niezależnie od ilości obecnych członków T-wa, po zebraniu miesięcznym o godz. 9½ wieczorem w tym samym lokalu.

+ Na posiedzeniu z d. 20 z. m. Komisya wycieczkowa P. T. Kr. ułożyła następujący program wycieczek czerwcowych, wyruszających z Warszawy:

2-go — do Miedzeszyna; wymarsz z Warszawy o 8 rano, powrót łodziami o zachodzie słońca. Ceny: ml. 30 kop., czlon. 75 kop., goście rb. 1. Prowadzi p. Al. Janowski.

5-go i 6-go—do Złotego Potoku (Bobolice—Miłów); wyjazd w nocy z 4-go na 5-ty o godz. 12-iej, powrót 6-go o godz. 12-iej w nocy. Ceny: ml. 8 rb., czł. 8 rb. 50 kop., goście 9 rb.

5-go—8-go — do Olkusza; wyjazd z dworca Brzeskiego o godz. 5 m. 20 po poł., powrót 8-go o godz. 7 m. 53 rano. Ceny: ml. 9 rb. 50 kop., czł. 10 rb., goście 11 rb. Prowadzi p. St. Lenczewicz.

9-go—do Inowłódza; wyjazd o godz. 5 m. 20 rano, powrót o godz. 12 m. 55 w nocy. Ceny: ml. 5 rb. 50 kop., czł. 6 rb., goście 6 rb. 50 kop. Przewodnik p. Koszutski.

16-go—do Puszczy Kampinoskiej; wyjazd z przystani na Wiśle o godz. 7 m. 30 rano, powrót wieczorem. Przewodnik p. Al. Janowski.

Prócz wyszczególnionych, na 29 i 30 urzędzone będą 2 wycieczki:

- 1) w Góry Świętokrzyskie i
- 2) do Ojcowa.

Szczegóły zakomunikowane będą w następnym numerze „Ziemi“.

Poza tem w końcu czerwca odbędzie się dłuższa i dalsza wycieczka na Litwę i Białą Ruś, pod kierunkiem prezesa Towarzystwa K. Kulwiecia.

Głównym celem wycieczki tej będzie zwiedzenie miejscowości leżących na t. zw. szlaku napoleońskim, pomiędzy Wilnem i Berezyną.

Wycieczkę tę poprzedzi mniejsza (3-dniowa) wycieczka nad jeziora suwalskie i kanał augustowski. Marszruta obu tych wycieczek tak została ułożona, że jest możność zapisywania się na każdą z nich oddzielnie lub też łącznie na obie razem.

a) Wyjazd z Warszawy w nocy z 22 na 23 czerwca z dworca Petersburskiego o godz. 12 m. 13 w nocy. Przyjazd do Suwałk 25/VI o godz. 12 m. 44 w południe. Jezioro Wigierskie, kanał augustowski, Grodno. Powrót do Warszawy 26/VI o godz. 6 m. 38 rano. Ceny: ml. 12 rb., czł. 14 rb., goście 16 rb.

b) Wyjazd z Warszawy d. 25/VI z dworca Petersburskiego o godz. 9 m. 58 rano. Połączenie się z uczestnikami pierwszej wycieczki (a) w Grodnie tegoż dnia o godz. 4 m. 54 popoł. Przyjazd do Wilna o godz. 9 m. 3 wieczorem; przez 26—27 i 28 czerwca pobyt w Wilnie i zwiedzenie okolic.

29/VI wyjazd końmi traktem napoleońskim na Oszmianę, Smorgonie do Mołodeczna (30/VI) i dalej do Studzianki nad Berezyną (2/VII).

Wyjazd z Borysowa koleją do Mińska lit. Wyjazd z Mińska 3/VII o godz. 10 m. 11 wieczorem. Powrót do Warszawy 4/VII o godz. 3 m. 10 popoł. Ceny: ml. 26 rb., czlonk. 28 rb., goście 30 rb.

Ceny na uczestnictwo w obu wycieczkach (22/VI—4/VII): ml. 32 rb., czlonk. 34 rb., goście 36 rb.

Na rachunek powyższych opłat uczestnicy wycieczki otrzymują przejazdy koleją i końmi oraz noclegi.

Poza tem na koszty utrzymania każdy z uczestników wycieczki winien być przygotowany na następujący wydatek:

na wycieczce a rb. 6 (3 dni)
na wycieczce b rb. 20 (10 dni)
na obu wycieczkach (a+b) rb. 25 (12 dni).

Każdy z uczestników wycieczki winien posiadać z sobą paszport krajowy.

Osoby, przylączające się do wycieczki w Wilnie, płacą za bilet uczestnictwa o 8 rb. mniej.

Połowę należności za bilet uiszczą się przy zamawianiu biletu, resztę—przy odbiorze.

Ilość uczestników ograniczona.

Zapisy do 15 czerwca.

+ W d. 25 marca r. b. odbyło się 2-gie miesięczne Zebranie Ogólne członków Oddziału Ołkuskiego, na którym delegat Oddziału zdał sprawę z Ogólnego Zebrania Towarzystwa Krajoznawczego, odbytego w Warszawie w d. 25 lutego r. b., i zaznaczając rozwój i intensywność Towarzystwa, zachęcał obecnych do wstępowania w poczet jego członków. Wybrano następnie Komisję odczytową, w skład której weszli: pani Opalska, oraz pp. Iwaszkiewicz, Jasiński, Skarżyński i Żarski. Jako przygotowanie do projektowanej przez Oddział wycieczki do Krakowa w d. 26 i 27 maja r. b., pokazane były dnia tego przezrocza przedstawiające widoki gmachów i zabytków sztuki Krakowa, do których nader treściwe i pouczające objaśnienia dawała pani dokto-



rowa Opalska. Obecnych na zebraniu było 35 członków Oddziału i 47 gości.

Dnia 31 marca b. r. przyjeżdżał do Olkusza wiceprezes Zarządu Centralnego p. Aleksander Janowski i wygłosił w przepelnionej sali Resursy miejskiej swój znakomity odczyt „Ziemia rodzinna“. Obecnych na odczycie było 110 osób, które z nadzwyczajnym zajęciem i uwagą słuchały prelegenta. Odczyt ten zostawił po sobie nader korzystne i niezatarte wrażenia.

Dnia 28 kwietnia r. b. odbyło się 3-cie miesięczne Zebranie członków Oddziału Olkuskiego, na którym obecni byli goście z Oddziału w Zagłębiu, którzy wspólnie z członkami Oddziału Olkuskiego odbyli wyprawę w celu zbadania groty na „Dyablej górze“ pod Biskupim Borem. P. Minkiewicz wygłosił referat na temat: „Sprawa włościańska w Królestwie w XIX w.“, poczem ukonstytuowano Sekcję fotograficzną, w skład której weszli: pani Osmołowska, pp. Gadomski, Gurbiel, Osmołowski i Wyżewski, i Sekcję muzealną, do której weszli: pp. Giedroyc, Grzybowski, Jarno Jan, Jarno Stanisław, Jasiński, Kowalski i Osmołowski.

Sekcja wycieczkowa Oddziału Olkuskiego ułożyła następujący program wycieczek na sezon letni 1912 r.

26 i 27 maja do Krakowa.

16 czerwca do Pilicy, Smolenia i Ogrodzieńca.

29 i 30 czerwca do Zakopanego.

14 lipca do Klucz i Pazurka.

27 i 28 lipca w Świętokrzyskie.

14 i 15 sierpnia do Raclawic, Szklar, Łaz, Ojcowa, Grodziska i Pieskowej Skały.

15 września do Puszczy Błędowskiej i Kuzniczki.

Wycieczki odbywać się będą w oznaczonych terminach bez względu na pogodę.

Na przewodniczącego Sekcji wycieczkowej wybrany został inżynier Stanisław Paderewski.

+ Sekcja wycieczkowa Oddziału Lubelskiego zapowiada na sezon wiosenny i letni następujące wycieczki z Lublina:

26 i 27 maja do Zamościa i Zwierzyńca.

6 czerwca do Przegalin.

9 czerwca do Sieprawek.

23—26 czerwca do puszczy Białowieskiej.

28/VI—1/VII do Ojcowa.

Poza tem zaprojektowano wycieczki po Lublinie; jedna z nich już się odbyła d. 8 z. m., poprzedzona odczytem p. T. Ciświckiego p. t. „Dzieje Lublina i jego pamiątek“, następna zaś odbyć się ma d. 16 czerwca.

Sekcja odczytowa Oddziału Lubelskiego zorganizowała odczyt p. S. Bojarskiej p. t. „Prasłowiańska Jedlnia“; zaznajomił on słuchaczy (niestety nielicznych) z ustrojem rodowym plemion słowiańskich.

Ze stowarzyszeń.

Odczyt prof. E. Romera.

Dnia 14 z. m., staraniem Związku Nauczycielskiego, w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, wypowiedział odczyt pod tytułem: „Dorzecze Wisły“, członek-korespondent Polsk. Towarzystwa Krajoznawczego ze Lwowa, prof. Eugeniusz Romer. Zadaniem jego było wyświetlenie i uzasadnienie, dla czego ziemie polskie stanowią całość pod względem geograficznym.

W tym przedmiocie, jak wiadomo, istnieje już w nauce pewna literatura, do której przyczynił się i sam prelegent. Zwłaszcza sprawa ta zajmowała zasłużonego w geografii naukowej na terenie polskim, badacza — Wacława Nałkowskiego.

Uwagę obu geografów polskich zwracał przede wszystkim brak w Polsce wyraźnych granic przyrodniczych — gór lub mórz — z zachodu i wschodu. Nałkowski wobec tego szukał usprawiedliwienia dla zaliczenia ziem polskich w poczet jednostek geograficznych o charakterze „przejściowym“, utrzymując, że pod względem przyrodniczym stanowi ona przejście stopniowe i łagodne od właściwości Europy zachodniej do cech odrębnych Wschodu, pod względem zaś handlowym i kulturalnym jest jakby pośrednikiem pomiędzy dwiema połowami naszej części świata.

Romer za Nałkowskim nie widzi w Polsce naturalnych granic południowych, śladem jednak geografów zachodnich, mianowicie Ratzla, uważa, że dla uznania kraju za całość geograficzną potrzebne jest nie tyle jej naturalne odgraniczenie od sąsiednich, ile naturalne spojenie wewnątrz, łączność wewnątrzna poszczególnych cech przyrodniczych kraju, które tworzą jego odrębność.

Romer nie zgadza się z poglądem Nałkowskiego na Polskę, jako na kraj przejściowy pomiędzy wschodem a zachodem Europy, i uważa, że teoria ta zrodziła wśród młodszych wyznawców Nałkowskiego szereg nieporozumień.

Romer uważa więc, że kraj każdy nie może nie być w części przejściowym pomiędzy sąsiednimi, że wskazanie przejściowego charakteru kraju jest odmówieniem mu właściwości odrębnych, że zresztą Polska w mniejszym stopniu była przejściem i przewodnikiem kultury ze Wschodu na Zachód, niż w innych czasach Francja lub Niemcy, gdyż Rosja nawiązywała stosunki z zachodem bezpośrednio — przez Archangielsk lub własne brzegi Bałtyku. Nałkowski twierdził odwrotnie, że przejściowy charakter Polski i jej położenie geograficzne w środku Europy stanowią cechy oryginalne.

Wobec tego Romer główną uwagę poświęcił dowodzeniu, że Polska właśnie tego charakteru przejściowego nie posiada.

Bliskość morza stanowi jedną z właściwości krajów Europy zachodniej, — i zachowuje się ona na całym obszarze ziem Polski historycznej; odległość od morza Czarnego do Bałtyku wynosi o 100 zaledwie kilometrów więcej od przestrzeni, dzielącej





morze Niemieckie od Adryatyku. Kierunek rzek przeważa w niej ten sam, co w Europie zachodniej, Nizina polska wcale nie jest spokojniejsza od zachodniej, i wyżyna wschodnio-podolsko-czarnomorska jest równie „zakłócona“, jak kraje zachodnie. Granica buka, gdzie on był lub być może, odpowiada granicy wschodniej ziem polskich. Szarańcza zagląda do krajów zachodnich, aż do granicy Hanoweru, i może tu żyć stale. Różnica temperatury stycznia a lipca, stanowiąca o klimacie i przyrodzie krajów, nieznaczna na Zachodzie, wielka na Wschodzie, podług badań uczonego rosyjskiego Wojejkowa, na wywodach którego opierał się Nałkowski, w Warszawie jest średnią pomiędzy różnicą tą na krańcach jej równoleżnika. Badania Romera jednak tę linię średnią odsuwają o dwieście kilkadziesiąt kilometrów na Wschód, a tam zaznaczają wyraźny skok klimatyczny ku Wschodowi. Powodzie letnie na Zachodzie („Świętojanka“), a wiosenne na Wschodzie, są funkcją położenia górskiego lub nizinnego ich źródłowisk, i wobec tego nie stanowią same przez się o charakterze zachodnim lub wschodnim kraju. Stepy, istniejące w Polsce analogicznie do Wschodu i w przeciwstawieniu do Zachodu, jak wykazują badania uczonych amerykańskich, są z punktu widzenia klimatycznego już nie stepami, lecz przeżytkami dawnych stepów wszechuropejskich.

Tak więc krok za krokiem Romer poddaje krytyce teorię przejściowości polskiej i buduje nową, uzasadniającą przynależność ziem polskich pod względem przyrodniczym, nie mówiąc już o kulturalnym, do krajów Europy zachodniej.

Z drugiej strony Romer buduje teorię nową, że ziemie polskie stanowią międzymorze, pomost lub przełęcz pomiędzy Bałtykiem a morzem Czarnym, analogiczne do prowansalskiego, burgundzkiego lub morawskiego na Zachodzie i od nich niewiele dłuższą. Na zarzut ewentualny, że do tej przełęczki należy równocześnie z Polską Ruś-Ukraina, Romer odpowiada, że systemem rzeczonym Dniestru i Dniepru złączona ona jest z Polską w wyższym stopniu, niż spojona wewnątrz siebie wobec poszczerbionej jarami wyżyny Podola.

Odczyt, wypowiedziany z właściwą prelegentowi swadą i siłą przekonania, sprawił na słuchaczach silne wrażenie. Pełną garścią rzucał on na salę od-

czytują czyste ziarna dochodzeń i prawd naukowych z zakresu geografii ojczystej, a co szczególnie tu podkreślić należy, w polemicznych swych wywodach przeciwko poglądom Nałkowskiego ujawnił niezwykłą delikatność i subtelność w wysokim uznaniu zasług zmarłego naszego geografa.

o o o o o o o o o o

Kronika krajoznawcza.

× Doszła nas wiadomość z najwiarogodniejszego źródła, że znany mecenas sztuki, dziedzic Głębokiego nad Gopłem p. Dominik Wittek-Jeżewski, o którego galerii obrazów w tym jeszcze kwartale podamy szczegółowy opis, postanowił przenieść w ciągu nadchodzącego lata swe arcybogate zbiory, składające się z płócien polskich i niezliczonych tek pełnych szkiców, rysunków i sztychów, na stałe do naszego miasta. Sądzymy, że wiadomość niniejsza przez wszystkich, którym rozwój sztuki polskiej leży na sercu, przyjęta będzie z prawdziwą radością, tem więcej, że p. Jeżewski, idąc w ślady szambelana Lachnickiego, grafikę polską nie dla siebie gromadzi, lecz dla społeczeństwa. Dzięki więc tak pomyślnemu obrotowi rzeczy, Warszawa wkrótce nie będzie zazdrościła innym dzielnicom, które zbiory podobne już oddawna posiadają.

Przyklaskując od siebie z całego serca takiemu postanowieniu, nie posiadaliśmy się z radości, mimo, iż nas sroga troska dręczy wskutek bezdomności, gdyby bóstwo opiekuńcze zabytków dawnej Warszawy, skierowawszy sz. mecenasa w stronę dzielnicy staromiejskiej, natchnęło go do umieszczenia swych skarbów w jednej z tych poważnych wiekiem kamieniczek historycznych, które jakby są stworzone na schroniska dorobku artystyczno-kulturalnego tak dla naszego jako i dla dobra tych, którzy nas zastąpią.



TREŚĆ: *S. Matusiak* — Wiano i posag (c. d.). *Czesław Łopuski* — Instrukcja do pomiarów jezior. *A. Lange* — Kasztel w Saalburgu (z 2 ryc.) *Stanisław Thugutt* — Nad grobem wielkiego człowieka (z 1 ryc.). *J. Smoliński* — Jeszcze w sprawie karaimów. (Odpowiedź p. Poznańskiemu). — Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Kronika krajoznawcza.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.